NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 197·60 Marek, Półrocznie 395·20 Mk. Rocznie 790·40 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 5 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 8·—, za wiersz nonparellowy, jednoszpaltowy 10 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 20 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 16 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 14. maja 1921. Nr. 20.

Święto Napoleońskie w Warszawie



(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Plac Saski w czasie mszy polowej. Na podeście schodów wiodących do ołtarza gablotka z pamiątkami po Napoleonie.

Święto Napoleońskie w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekście).

Stuletnia rocznica śmierci Napoleona obchodzoną była w całej Polsce, nigdzie jednak tak wspaniale jak w Warszawie. Stała się ona prawdziwem świętem przyjaźni polsko-francuskiej, a świetności dodał jej udział delegacyi Rady miejskiej paryskiej. Cała ludność Warszawy wzięła udział w obchodzie, powodowana odruchem entuzyazmu dla wiecz-



Święto Napoleońskie w Warszawie Pomnik na Placu Wareckim obecnie „Napoleona". Fot. M. Fuks, Warszawa

nie żywej u nas legendy wielkiego Cesarza, dla ściśle z nią złączonej bohaterskiej chwały żołnierza polskiego, dla żywszej z dniem każdym łączności między narodem francuskim, a naszym, stwierdzanej nieustannie rzeźbionemi wspólnie ostrzem bagnetów świetnemi kartami historyi.

Wszystkie domy przystroiły się barwami francuskiemi i polskiemi, na balkonach morze zieleni i dywany, otaczające wizerunki Orła Białego lub emblematy napoleońskie sprawiły, iż miasto przybrało wygląd wyjątkowo uroczysty i odświętny.

Od wczesnego rana gromadzić się poczęły tłumy dokoła Placu Saskiego i Wareckiego (obecnie Napoleona), które miały stanowić tło najważniejszych punktów programu uroczystości.

Wśród kolumnady oddzielającej Plac Saski od ogrodu ślicznie przybrany ołtarz, na którym w otoczeniu palm i kwiatów widniał wizerunek Matki Boskiej, kolumnada przystrojona sztandarami o barwach polskich i francuskich, emblematami napoleońskimi, koło ołtarza krzesła przygotowane dla reprezentantów rządu, dyplomacyi zagranicznych, gości francuskich, duchowieństwa, Sejmu i prezydyum Rady miejskiej. Do ołtarza prowadzą dywanami i zielenią przybrane schody, a na pierwszym planie widnieje gablotka, zawierająca przywiezione z Paryża relikwie napoleońskie — maskę pośmiertną, kapelusz z wyspy Elby, szpadę i orła, przy nich straż honorową pełni trzech oficerów francuskich i dwóch polskich oraz dwóch polskich żołnierzy. U stóp kolumnady delegacye oddziałów wojskowych, stowarzyszeń, cechów, młodzieży harcerskiej, na przedzie dwa szeregi weteranów z r. 1863, las barwnych sztandarów, wśród których przepiękny, wiosłem u góry zakończony, sztandar marynarzy, na ławkach przed kolumnadą szeregi wyższych oficerów, oraz wybitnych przedstawicieli obywatelstwa warszawskiego, na balkonach strojne panie ze sfer dyplomatycznych, a w głębi na tle świątyni szeregi wojska i tłumy publiczności. Migocą ozłocono promieniami słońca barwne chorągiewki ułańskie, lśnią hełmy i instrumenty orkiestr wojskowych, gdzie spojrzeć nieprzeliczone morze kapeluszy i czapek.

Około godziny 10-tej przybywać poczęli przedstawiciele duchowieństwa, sfer rządowych, dyplomatycznych i wojskowych. Przybył J. E. ks. kardynał Kakowski, Monsignor Ratti, ks. biskup Gall, członkowie Sejmu z p. marszałkiem Trąmpczyńskim na czele, ministrowie, jeneralicya, zagraniczne misye dyplomatyczne i wojskowe, wśród nich jen. Niessel, pozdrawiający weteranów serdecznem „Cześć wam weterani", goście paryscy, reprezentanci Rady miejskiej, uniwersytetu, prasy itd., zajmując miejsca koło ołtarza. O godz. 10 minut 15 nadjechał Naczelnik Państwa, przy dźwiękach Hymnu Narodowego odbył na placu przegląd wojsk, poczem w otoczeniu adjutantów wszedł po stopniach do ołtarza. Rozpoczęło się nabożeństwo, celebrowane przez ks. Kardynała Kakowskiego w otoczeniu duchowieństwa.

Nad placem wzniosły się aeroplany, nabożeństwu wtórowały dźwięki muzyki wojskowej, umieszczonej w ogrodzie Saskim, a gdy fanfara oznajmiła podniesienie odezwały się dźwięki Hymnu Narodowego, oraz potężne salwy armatnie.

Po nabożeństwie ruszył wspaniały pochód ulicą Mazowiecką, na Plac Warecki, gdzie odbyć się miała uroczystość przemienienia nazwy tego placu na Plac Napoleona.

U stóp prowizorycznego pomnika Napoleona stanęli po prawej stronie Naczelnik Państwa w otoczeniu adjutantów, obok niego J. E. ks. kardynał Kakowski, reprezentanci rządu z p. ministrem Witosem na czele i przedstawiciele Sejmu, w pośrodku zajęli miejsca członkowie municypalności miasta Paryża oraz warszawskiej rady miejskiej, po lewej stronie oficerowie misyi koalicyjn. z jen. Niesselem na czele oraz jeneralicya polska.

Pierwszy przemówił w krótkich słowach prezydent miasta Drzewiecki zawiadamiając o uchwale Rady miejskiej, mocą której nazwa Placu Wareckiego zmienioną została na Plac Napoleona, poczem złożył wieniec u stóp pomnika, następnie imieniem miasta Wilna przemówił prezes Ignacy Baliński, imieniem Warszawy Artur Oppman.

Po przemowach opadła zasłona pomnika, odkrywając popiersie Napoleona i odbyła się wspaniała defilada wojskowa. Przy dźwiękach marsza, odegranego przez trzy połączone orkiestry, przemasze-



Święto Napoleońskie w Warszawie: Naczelnik Państwa, kardynał Kakowski i msgr. Ratti w uroczystym pochodzie z Placu Saskiego na Plac Warecki. Fot. M. Fuks, Warszawa.



Święto Napoleońskie w Warszawie: Nuncyusz papieski Msgr. Ratti oraz członkowie ciała dyplomatycznego. — Celebrans kardynał Kakowski przy ołtarzu polowem. — Naczelnik Państwa, marszałek Trąpmczyński, prez. gabinetu Witos i jenerał Niessel. Fot. M. Fuks — Warszawa.

rowały równym, miarowym krokiem oddziały piechoty, przeszli marynarze, potoczyły się bateryę artyleryi polowej, a wreszcie zaszumiały barwne chorągiewki szwadronów ułańskich.

Świetna postawa żołnierzy naszych wzbudziła ogólny zachwyt, z podziwem patrzyli na nie goście paryscy.

W czasie uroczystości Plac Napoleona był prawie zupełnie pusty. Tylko niewielkie stosunkowo grono osób, przeważnie wojskowych dopuszczono pod pomnik. Dopiero po odjeździe Naczelnika Państwa tłumy, zebrane w bocznych ulicach, przedarły kordon i zalały morzem głów cały plac Napoleona. Wśród tego tłumu wracał pieszo do domu jen. Niessel, wśród niemilknących okrzyków, teraz dopiero ożywionych rzesz, dających wyraz serdecznym uczuciom dla Francyi.

O godzinie 1 po południu odbyło się uroczyste otwarcie wystawy Napoleońskiej. Wstęgę inauguracyjną przeciął Naczelnik Państwa. Na uroczystości był obecny nuncyusz papieski, Ratti, przedstawiciele państw zagranicznych i misyi wojskowych, Delegacye paryskiej i warszawskiej Rady miejskiej, jenerałowie: Michaelis, Haller, Rozwadowski i inni. Wystawa przedstawia się okazale i zajęła dziesięć sal. W udekoronowanej sali na wzniesieniu, złożono pamiątki Napoleońskie, przywiezione przez delegacyę z Paryża.

O godzinie 6·45 odbyła się uroczysta akademia w sali ratuszowej wypełnionej szczelnie wyborową publicznością. Przybycie gen. Niessel'a, marszałka Trąmpczyńskiego i delegatów miasta Paryża witano ogromnie owacyjnie. O godz 7·15 przybył p. Naczelnik Państwa.

Pierwszy przemówił p. prezes Baliński witając reprezentantów miasta Paryża i oznajmiając, że obchody rocznicy Napoleońskiej odbywają się we wszystkich miastach polskich, a dodadzą one otuchy i wzbudzą wiarę w lepszą przyszłość wśród męczeńskich braci naszych na Górnym Śląsku.

Jen. Sikorski podkreślił niewzruszoną łączność Polski z Francyą i wykazał dziejowe znaczenie Napoleona w rozwoju techniki wojennej w Polsce i wyszkoleniu żołnierza naszego, a wreszcie zaznaczył wydatną pomoc Francuzów w tworzeniu obecnej armii polskiej.

Jen. Niessel skreślił piękną charakterystykę Napoleona jako żołnierza, organizatora i prawodawcy, oraz symboliczne już niemal jego znaczenie jako obrońcy wolności walczącego przeciw ciemiężycielom jej, odwiecznym wrogom Polski — Niemcom i Rosyi. Z chwilą, gdy w kilkadziesiąt lat po śmierci wielkiego Cesarza rewolucya przywróciła Francyi jego zwłoki, gdy spoczęły one w kościele Inwalidów, odżyły hasła wolności, a pamięć wielkiego ich obrońcy trwać będzie wiecznie nie tylko wśród Francuzów, lecz u wszystkich narodów świata.

Przemówienie pułk. Kuźiela zakończyło Akademię, poczem odbyło się przedstawienie w Teatrze Wielkim



Święto Napoleońskie w Warszawie: Po akcie odsłonięcia pomnika Napoleona U stóp pomnika Naczelnik Państwa w otoczeniu kardynała Kakowskiego, jenerałów Hallera, Niessel'a i innych uczestników. Fot. M. Fuks — Warszawa.

Urozmaicony i starannie ułożony program rozpoczął się z chwilą przybycia Naczelnika Państwa odegraniem Hymnu Narodowego oraz Marsylianki, poczem nastąpiły deklamacye wierszy Or Ota przez p. Mieczysława Frenkla i Wacława Brzezińskiego, śpiew p. Comte Wilgockiej i p. Aleksandra Michałowskiego, produkcye chóru i orkiestry. Entuzyazm ogólny wzbudziła odsłaniająca się przy dźwiękach Marsylianki apoteoza Napoleona w pięknym układzie p. Wincentego Drabika.

Część drugą programu wypełnił 3 ci akt „Aidy“ z bardzo efektownym baletem przy udziale p. Szmolcówny.

Sala wypełniona po brzegi wytworną publicznością przybraną w stroje wieczorowe i barwne uniformy galowe przedstawiała się bardzo efektownie, a nastrój w niej panował podniosły i serdeczny, odpowiadający wielkiemu świętu sojuszu polsko-francuskiego.

* * *

Z okazyi uroczystości Napoleońskiej wydał Naczelny Wódz następujący rozkaz dzienny:

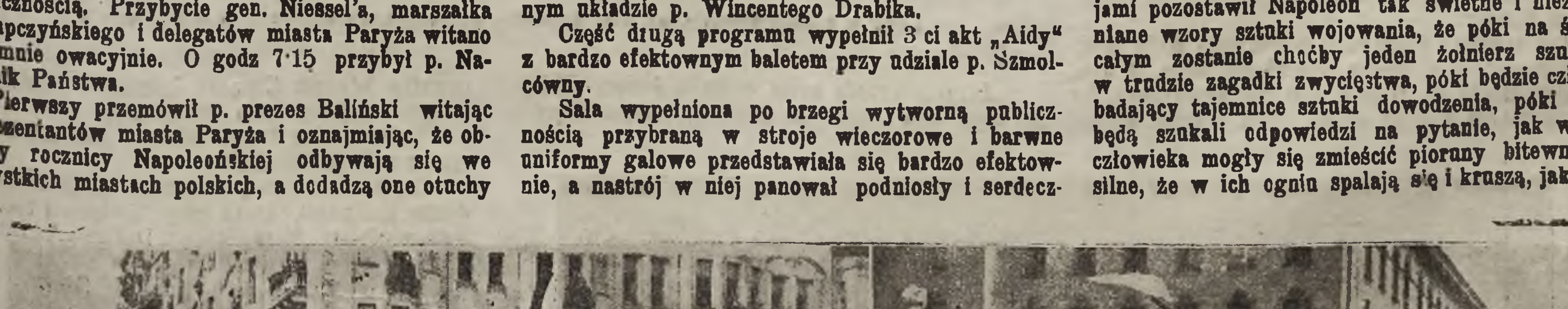
Żołnierze!

Sto lat temu na dzikiej smutnej wyspie, rzuconej w przestworza Oceanu, zmarł największy żołnierz świata, najświetniejszy wódz Napoleon. Na



Delegacya paryskiej Rady miejskiej w Warszawie: Członkowie delegacyi opuszczają po uroczystem przyjęciu dworzec kolejowy w Warszawie. 1) przewodniczący delegacyi Corbeiller, 2) jenerał Niessel, 3) prezes Rady m. Warszawy Baliński. Fot. M. Fuks. Warszawa.

widownię wojny w młodym jeszcze wieku rzucił go geniusz francuski, który kraj ten zmusił w męce wielu ciężkich walk rodzić nowe wzory życia na ziemi i postawił go między wodzami wojennymi, gdy wszystkie inne państwa zagrażały bytowi Francyi, w walce z nowinkami rewolucyi. Odtąd zwycięstwo, najsłodszy owoc trudów i wysiłków żołnierskich, na długo zostało związane ze sztandarami Francyi. Pod brzemieniem jego świetnego geniuszu wychowało się liczne grono dzielnych żołnierzy, które Europę ówczesną napełniło szumem bitewnym i głośnemi zwycięstwami. Pod twardą, lecz niezwykle umiejętną jego ręką, chłopcy stajenni, podoficerowie i młodzi oficerowie przekształcali się w największych jego pomocników marszałków Francyi, wielkich żołnierzy, którzy skalę zwycięstw przechodzili szybko i z łatwością. Czynami swoimi i bojami pozostawił Napoleon tak świetne i niezapomniane wzory sztuki wojowania, że póki na świecie całym zostanie choćby jeden żołnierz szukający w trudzie zagadki zwycięstwa, póki będzie człowiek badający tajemnice sztuki dowodzenia, póki ludzie będą szukali odpowiedzi na pytanie, jak w ręku człowieka mogły się zmieścić pioruny bitewne tak silne, że w ich ogniu spalają się i kruszą, jak nikłe



Święto Napoleońskie w Warszawie: Defilada kawaleryi i piechoty przed pomnikiem i uczestnikami aktu odsłonięcia. Fot M Fuks — Warszawa.

słomki, długotrwałe wysiłki ludzkie państw i organizacyi, póty nie gdzie indziej musi się zacząć poszukiwania swoje jak w dziełach, pracach i zwycięstwach wielkiego Napoleona.



Delegacya paryskiej Rady miejskiej w Warszawie: Francuscy goście po opuszczeniu wagonu kolejowego.
Fot. M. Fuks, Warszawa.

Ubóstwiany przez swoich żołnierzy, wielki w szczęściu i nieszczęściu, śmiały w myślach i czynie, wódz wielkiej, lecz zmęczonej wielkimi wysiłkami Francyi, złamany został po licznych nieudałych próbach przez przemożną liczbę wrogów jego i Francyi. Zdala od świata, w otoczeniu licznej straży, przestało wreszcie 100 lat temu bić serce wielkiego żołnierza, zgasł wielki umysł wodza, zginęła potężna wola, jakiej przed nim i po nim nie wykazał żaden człowiek żyjący na ziemi. Żołnierze! Pod dowództwem Napoleona walczyli niegdyś wasi dziadowie i pradziadowie, którzy z czcią przed nim jako najwyższym wodzem skłaniali swoje sztandary. I dziś dla uczczenia pamięci największego żołnierza i najlepszego nauczyciela żołnierzy niech wszędzie prawe serce żołnierskie silniej dla niego zabije, niech przed jego potężnym duchem skłonią się polskie sztandary, niech dla jego sławy zagrzmią pożegnalne salwy.

W dniu 5 maja 1921 r. Podp.: *Józef Piłsudski*, Naczelnik Państwa, Naczelny Wódz, Pierwszy Marszałek Polski.

Lwów w hołdzie Napoleonowi.

I Lwów zjednoczył się z resztą Polski w stuletnią rocznicę śmierci wielkiego Cesarza sprzymierzonej Francyi.

Już w czasie środowego posiedzenia Rady miejskiej prezydent Neumann zawiadomił Radę, iż Jen. Delegat Rządu dr. Gałecki nadesłał zaproszenie, by Reprezentacya miejska wzięła udział w nabożeństwie za spokój dusz ś. p. Napoleona, które się odbędzie o godzinie 10.30 w Bazylice katedralnej — i odczytał następującą enuncyacyę, która imieniem Reprezentacyi miejskiej złożona została w konsulacie francuskim we Lwowie:



Lwów w hołdzie Napoleonowi: Plac Katedralny po uroczystem nabożeństwie w dniu 5 maja b. r.

„Jutro przypada setna rocznica śmierci wielkiego obywatela i żołnierza Francyi, cesarza Napoleona I. Cały naród francuski obchodzi tę rocznicę jako wielkie święto narodowe, mając w pamięci jego wielkie zasługi dla stworzenia nowożytnej Francyi i nieśmiertelną sławę, jaką imie francuskie okrył w całym świecie.

„Naród polski całem swem sercem bierze udział w tem święcie, pomny tego, że Napoleon był pierwszym, który po rozbiorze Polski postawił sprawę polską na porządku dziennym polityki międzynarodowej i w niezliczonych zwycięskich bitwach położył podwaliny pod trwałe braterstwo broni między Polską a Francyą.

„Rada miasta Lwowa w tej uroczystej chwili łączy się z całym narodem polskim w głębokim hołdzie dla pamięci wielkiego bohatera Francyi i upoważnia prezydenta miasta do dania wyrazu tym uczuciom za pośrednictwem przedstawiciela Francyi we Lwowie".

Pismo to Rada przyjęła hucznymi oklaskami do wiadomości, wznosząc okrzyki na cześć Francyi.

We czwartek odbyło się uroczyste nabożeństwo w Katedrze, które odprawił ks. biskup Twardowski. Honorowe miejsca zajęli: szef misyi francuskiej we Lwowie pułk. de Renty z członkami misyi, Jeneralny Delegat Rządu dr. Gałecki, dowódca okręgu lwow. jen. Lamezan Salins, członkowie misyi angielskiej, dalej prezydyum miasta, naczelnicy władz, korpus oficerski itd.

Kompanie wojska ustawiły się na placu Kapitulnym.

Po nabożeństwie odbyła się w Rynku defilada wojska. Jen. Lamezan wzniósł okrzyk na cześć Francyi, powtórzony z entuzyazmem przez zgromadzonych tam oficerów i cywilną ludność.

Wieczorem odbył się w Kasynie i Kole lit.-art. czwarty Wieczór Związku Literatów polskich, poświęcony wspomnieniu Bonapartego.

Wobec nader licznie zebranej publiczności przemówił red. Michał Rolle.

Część koncertową programu rozpoczęła p. Ludwika Czernowa, która przy dźwiękach fortepianu wypowiedziała „Marsyliankę". Deklamacya o wielkiej sile ekspresyi wywarła wrażenie na słuchaczach, z pośród których powstał pułk. de Renty i dziękował serdecznie interpretatorce bojowej pieśni legionów napoleońskich.

Janusz Kozłowski, witany oklaskami, wygłosił wiersz legionisty napoleońskiego Kantorberego Tymowskiego „Dumania w zamku Maurów" i „Na sprowadzenie zwłok J. Słowackiego". Najsilniejsze wrażenie sprawił odczytany przez Kozłowskiego fragment z „Popiołów".

W drugiej części programu otwartej „Mazurkiem Dąbrowskiego" p. Czernowa deklamowała „Expiation" Wiktora Hugo, dziwny poemat o cesarzu, stojącym wśród śniegów rosyjskich w obliczu śmierci wielkiej armii jakby w poczuciu spełniającej się ekspiacyi.

Wieczór zamknął wiersz Stanisława Wasylewskiego p. t. „Legenda empire'u".



Lwów w hołdzie Napoleonowi: Jeneralicya, przedstawiciele władz i goście podczas defilady wojsk na lwowskim Rynku.

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

6. POWIEŚĆ.

— A wie pani jakie skutki z tego wynikną? Dyrektor zniechęci się, z początku będzie panią upominał, potem rozgniewa się, a w końcu — no niech pani sobie sama koniec w duszy dośpiewa...

Spojrzała na niego z niepokojem, przesadzał trochę, ale odgadywał. Dyrektor, który jej tę posadę wyrobił, był z niej niezadowolony, czuła to w jego postępowaniu, chociaż jej dotąd nic nie powiedział, prócz nawiasowego upomnienia, aby sobie z dziećmi energiczniej poczynała.

— Tak jest — mówił dalej pan Władysław rad z odniesionego wrażenia — musi pani choć trochę postarzeć, nabrać pychy i zarozumiałości, jednem słowem stać się podobną do naszej Wandzi, jeżeli chce pani cieszyć się taką powagą i uznaniem jak ona.

— Ach ja tego nigdy nie nabędę — westchnęła Celina.

— Czego pani nie nabędzie — zapytał pan Władysław z filuternym uśmiechem.

— Tej pewności siebie.

— Nie dziw — odparł poważnie — nie chodziła pani do seminaryum! Po skończeniu tych wysokich kursów jest się dopiero rozumną, a po zdaniu egzaminu wydziałowego przerasta się wszystkich mędrców i filozofów.

— Wanda już dłużej nie mogła wytrzymać, wstała gwałtownie, odtrącając z hałasem krzesło, gdy zabrzmiał głos pani Domejkowej:

— Dzieci chodźcie na kolacyę, a ty Władziu — dodała zbliżając się — mógłbyś się przywitać z matką bez mego przypomnienia...

— A gdzież będę mamy szukał — odparł niechętnie — w kuchni niema, w pokoju niema, przychodzę tutaj na wypoczynek, a nie na latanie.

— Wiem ja wiem, że to za wielka pretensya z mojej strony - mówiła z gniewem — chciałbyś może, żebym ja wybiegła naprzeciw ciebie, a może i w rękę cię pocałowała! Czegóżeście znowu zasiedli w bawialnym pokoju — dodała z oburzeniem — wiecie, że wszystko sama muszę robić, sług niema do czyszczenia dywana i podłóg.

— Przestańże mama z tym bawialnym pokojem — rzekł pan Władysław przechodząc do drugiego pokoju i zasiadając do kolacyi. — Nikt w domu nie bywa i dla jakiejś fantazyi jedyny dobry pokój stoi pustką. Zdejmcie ten kwiecisty gałgan, który dywanem nazywacie i używajcie całego mieszkania. Dusić się w takiej ciupie — dodał spoglądając pogardliwie na wązki pokoik — to dalibóg zbrodnia przeciw hygienie.

— Mój Władziu — rzekła matka, pomijając milczeniem wszystkie zarzuty, a podnosząc tylko jeden podług niej najważniejszy — powtarzasz ciągle, że nikt u nas nie bywa, a któż temu winien? Czy nie mógłbyś zaprosić kogoś czasami, nie dla jakichś tam zamiarów, ale ot po prostu, aby się dziewczęta trochę zabawiły, jesteś przecie bratem i jedynym mężczyzną w domu, a czy pomyślisz o tem?

— Racya, po cóż mam kogo ciągnąć? Żeby chociaż były inne, ale źle to, brzydkie i ubogie. Cóżby robił z nimi początkujący lekarz, który często sam niema co do gęby włożyć. Zresztą choćbym przyprowadził jakiego wygłodzonego ucznia Eskulapa, to i tak *maminem* córkom nicby z tego nie przyszło, wierzę, że *teraz* odwiedzanoby chętnie nasz dom — dodał z filuternym uśmiechem spoglądając w stronę Celiny.

— Na co też mama stawia jakieś żądania temu Władkowi — przerwała Wanda gniewnie — wie mama jakim jest gburem i jak mało go obchodzimy, przychodzi tylko do domu, aby zjeść i wykłócić się.

— Wy zato żyjecie ze sobą w biblijnej zgodzie — zaśmiał się młodzieniec ironicznie, zapychając sobie usta chlebem — ale czemu to p. Jadwiga taka milcząca — zawołał po chwili, przenosząc drwiący wzrok na drugą z kolei siostrę — czy nie zjawił się jaki nowy wielbiciel?

— Myślałam, że choć mnie dasz spokój — odparła wyniośle Jadwiga — ale ty podobno nie spałbyś w nocy, gdybyś nas wszystkich nie podrażnił.

— Mówię ci serio, że brat panny Mani, tej blondyneczki, której udzielasz rysunków, pytał się mnie kilka razy o ciebie — zapewniał z powagą.

— Pan Henryk? ależ ja go prawie nie widuję.

— To nic nie szkodzi, uwielbia cię na dystans! Nie przeczuwasz nawet, jakie zadajesz rany twą wiotką kibicią i małemi oczkami.

— Czy mama słyszy, co on gada! — zawołała w najwyższej pasyi Jadwiga — zapowiadam mamie, że jak on nie przestanie nam dokuczać, to się z domu wyniosę, dosyć już mam tego!

W kilka tygodni później w niedzielę, w znanym nam bawialnym pokoju p. Domejkowej, uporządkowanym starannie, o południowej godzinie, siedziały Jadwiga z Celiną, jedna przy oknie wychodzącem na hałaśliwe podwórko, a druga na kanapce, rozmarzonym wzrokiem błądząc po suficie.

— Moja Cesiu spojrzyj raz jeszcze przez okno — mówiła Jadwiga głosem niezwykle łagodnym.

— Nikogo nie widać — odparła Celina, wychylając za mętne szyby swoją świeżą twarzyczkę — ale powiedzże mi raz, kto to ma przyjść?

— Nie powiem, aż sama zobaczysz.

— No to niech przynajmniej się dowiem, czy to mężczyzna, czy kobieta?

— Jakaś ty naiwna! Dla kobiety ubierałabym się w moją najlepszą suknię, dla kobiety płacićłabym drogi obiad z restauracyi, aby tutaj, gdzie jest tylko jedno wejście, swądu nie było, dla kobiety wreszcie doznawałabym tego niepokoju i bicia serca? Rada jestem, że wyprawiłam mamę z Wandą, boję się ich szyderstwa w razie... rozczarowania.

— Jakto, nie powiedziałaś mamie?

— A to na co, żeby mnie wyśmiewała?

— Mama — — —

— A tak, mama, mama! Niby jej nie znasz, jak wpadnie w złość, to nic dla niej niema świętego.

— Nie pojmuję, jak możesz wtajemniczać mnie, pomijając swoich najbliższych — zauważyła Celina oschłym tonem.

— Ach ty to co innego! wiem, że ani mnie wyśmiejesz ani zdradzisz, za dobroduszna jesteś na to.

— Czyli innemi słowy za głupia...

— Co za przypuszczenie — rzekła Jadwiga, wzruszając ramionami — wyjrzyjno raz jeszcze — dodała po chwili — mnie nie wypada, ręczę, że idąc, będzie patrzał do okna.

— Nikogo nie widać — powtórzyła Celina, posłusznie wychylając się za okno — czy ci powiedział, że przyjdzie? — zapytała rozciekawiona.

— Naturalnie! Zresztą spodziewałam się tego od czasu, gdy nam Władek opowiadał, że *on* tak szuka jego znajomości. Spostrzegłam go także w niedzielę w kościele, stał w tłumie niedaleko naszych ławek, nie spuszczając ze mnie oka.

— Czy był i tamtej niedzieli? Szkoda, żeś mi go nie pokazała.

— Nie chciałam z nikim dzielić się moją słodką tajemnicą — odparła Jadwiga sentymentalnie. — Widać jednak sprzykrzyło mu się podpatrywanie z daleka — mówiła dalej z ożywieniem — wczoraj bowiem, kiedy wychodziliśmy z Władkiem z teatru, przyłączył się do nas i odprowadził nas do domu. W końcu, żegnając się, zapytał: Czy pozwolą państwo, abym w domu złożył moje uszanowanie? — Na co Władek odpowiedział ze zwykłą sobie gburowatością: — Oto stoi reprezentantka domu, mnie nic do tego! — Tak byłam zmieszana, że już nie wiem co odpowiedziałam, ale wziął to za przyzwolenie i dlatego oczekuję go dzisiaj.

— Nie rozumiem tylko, jak możesz brać to wszystko do siebie, do kościoła np. chodziłyśmy wszystkie — zauważyła Celina.

— To dobre, a do kogoż mam brać? — zauważyła Jadwiga śmiejąc się — przecież nie do Wandy, bo brzydka i prawdę powiedziawszy nie pierwszej młodości, ani też do ciebie, boś za wielkim dzieciakiem. Nie uważasz nigdy na to, jakie robisz wrażenie, jak wyglądasz! jesteś zanadto szczera, prosta, nic niema w tobie skomplikowanego. A mężczyźni żądają zagadki, sfinksa, pragną zdobywać i chcą, żeby zwycięstwo nie przyszło im łatwo. A ty tego wszystkiego nie potrafisz.

— A czyż ja chcę, czy to warto? — odparła Celina lekceważąco — mnie co innego w głowie i cel mój inny.

— A dalej — mówiła Jadwiga nie zważając na przerwę — kogo odprowadzał, komu oświadczył chęć bywania w domu? no powiedz, powiedz sama.

— Ależ i owszem, ja nie pojmuję, co mi tam do tego! Aj jak wieje od tego okna — dodała krzywiąc się — siądę chyba w tamtym zacisznym kąciku.

— Dobrze — odparła Jadwiga z roztargnieniem — zobaczysz, jaką ja zazdrość obudzę, gdy się to rozgłosi — ciągnęła dalej z tryumfującym uśmiechem — może będę wkrótce karetą jeździła, ale cicho, słyszę kroki. Moja droga nie mieszaj się do rozmowy, możesz nawet wyjść, ale nie, lepiej zostań i nie ruszaj się ze swego miejsca.

Na dalsze instrukcye nie było już czasu, w progu ukazała się smukła, wysoka postać. Celina omal nie krzyknęła — poznając pana Wirskiego.

Udane zdziwienie Jadwigi i potok wymowy jakim przywitała wchodzącego, pozwoliły Celinie przypatrzeć mu się uważniej. Wydał jej się jakimś starszym, poważniejszym, a widok jego nie był wcale tak nieznośnym jak dawniej. Pewnie już jest po słowie z panną Klarą, rzekła do siebie, ale wnet przypomniała sobie nadzieje Jadwigi i uczuła niesmak, zawsze ten sam motylek, pomyślała z szyderstwem.

Tymczasem Jadwiga mówiła nieprzerwanie, można było utonąć w tym potoku doborowych słów i poprawnych zwrotów. Pan Michał usiadł naprzeciw lustra i spoglądał weń co chwila.

— Żałuję mocno, że nie zastał pan mamy — mówiła Jadwiga — o tej porze jest zawsze w kościele.

— Ja zaś naumyślnie wybrałem ten dzień, aby paniom nie przeszkadzać — ozwał się pan Michał.

— Tem niech się pan nie krępuje! wieczory mamy zawsze wolne i jeżeli nas pan kiedy odwiedzi, to się pan przekona, jak wesoło spędzamy je po sumiennem wypełnieniu całodziennych obowiązków. Najwyższa rozkosz to: praca i kochająca rodzina! — zakończyła patetycznym wykrzyknikiem.

Celina słuchała z głębokiem zdziwieniem! nieprzyzwyczajona do kłamstw towarzyskich, zdumioną była słowami Jagwigi.

Pan Michał zadowolił się jakiemś niewyraźnem mruknięciem, a Jagwiga ciągnęła dalej:

— Wprawdzie do tak ścisłego familijnego kółka niechętnie dopuszczamy obcych i nawet z tego powodu mamy niejedną sprzeczkę z naszym poczciwym bratem, któryby chciałby, żebyśmy się zabawiły, ale...

— Czego on tak w to lustro patrzy — myślała Celina — czy byłby tak próżnym? nigdy tego w nim nie zauważyłam — podniosła się trochę zaglądając do zwierciadła i ujrzała w niem odbitą twarz swoją. W tej chwili i pan Michał się odwrócił.

— Przestraszyłaś mię Cesiu — zawołała niezmieszana Jadwiga — zagadawszy się zapomniałam o twej obecności, zapewne nie znasz, pan mecenas Mirski.

Celina ukłoniła się z powagą, jak gdyby go po raz pierwszy widziała, na co podobnie odpowiedział p. Michał.

Nadejście p. Domejkowej, zdziwionej i uradowanej tyle obiecującym gościem, nadało inny kierunek rozmowie. Z ciasnego kółka osobistych pochwał, przeszła na szersze pole wychwalania familii. Długo zatrzymano się nad koligacyą ze znanym i bogatym chirurgiem dr. Sławuckim. Był on dalekim krewnym p. Domejkowej, stale jednak przez nią bratem nazywany. Dawało pewne oparcie towarzyskie, a odblask bogactwa i dystynkcyi spadał i na nią. Wprawdzie dr. Sławicki nigdy prawie u niej nie bywał, a całą serdeczność jego ograniczała się na zaproszeniu kiedy niekiedy do siebie, prowadził bowiem dom otwarty dla córki jedynaczki, ludzie jednak o tem nie wiedzieli, a pani Dowejkowej chodziło jedynie o ludzi.

Wreszcie skończyła się ta wizyta ku wielkiej radości Celiny, obawiającej się, aby jakimś sposobem nie wydała się jej znajomość z p. Michałem. Postanowiła sobie uciekać z domu, ile razy tutaj przyjdzie, nierada, że znowu spotyka go na swej drodze. Przedsięwzięcie to ułatwiała wielce znajomość, zawarta w tym czasie z p. Heleną Sławucką.

(Ciąg dalszy nastąpi)

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

40 I.

— Niecierpliwość dowiedzenia się, czy ta kobieta ma jednę rękę uciętą.
— Być może — szepnął Dick.
— A więc to prawda! — zawołał Robert chwytając go za ramię.
— Nie jestem tego pewnym.
— Ale prawie — nieprawdaż?
— Tak, prawie.
— Oh! Niech mi pan da jaką pewność, że tak jest rzeczywiście a dziesięć tysięcy franków są twoje.
— Byłaby to za skromna usługa oddana Ekscelencyi za tę sumę — uśmiechnął się detektyw — Miałem odkryć nazwisko i adres nieprzyjaciela i uczyniłem to — ale miałem także odkryć jego tajemnicę, a tego jeszcze nie zrobiłem.
— Ja chcę uwolnić tę kobietę! Marya musi być uwolniona od tego potwora. Pan mi w tem dopomoże — nieprawdaż?
— To jest rzecz bardzo poważna, Ekscelencyo — wymówił z namysłem Dick Leslie.
— Poświęcę na to cały majątek — zawołał Robert w najwyższem uniesieniu.
— Nie chodzi o pieniądze. Dać Ekscelencyi informacye potrzebne, co do tego garbusa, powiedzieć mu kim jest Markus Henner, to nic — ale dopomóc do takiego czynu — to rzecz inna! Ja jestem tylko detektywem dającym informacye — kończył Dick spokojnie.
— To dobrze. Sam działać będę. Ale dziś wieczór zaprowadzi mnie pan do tej restauracyi.
— Będzie to wielka nieostrożność, Ekscelencyo — zauważył detektyw.
— Dlaczego?
— A jeżeli nas John zdradzi? jeżeli on jest wspólnikiem wiernym tego Markusa Hennera, a nie przyjacielem pani Maryi?
Mówił pan przed chwilą przeciwnie — obruszył się Alimena.
— A któż może być pewnym wszystkiego? Ten John zdradza wielką litość dla cierpień pani Maryi, dla jej nieszczęścia.
— Więc ona jest nieszczęśliwa — widzi więc pan panie Dicku, że...
— On może sam pragnie uwolnić ją z tego więzienia — przerwał detektyw patrząc prosto w oczy Robertowi.
— Co pan mówi?
— Ale boi się szalenie Markusa Hennera. Może więc nas zdradzić.
— Przekonam się sam o tem dziś wieczorem — wyrzekł z uporem Robert.
— Ekscelencya uczyni jak zechce — ale nie odpowiadam za skutki.
— Co tam! Niech Markus Henner czyni co zechce! Ja chcę uwolnić Maryę!
— Ekscelencya powinna mi była od razu tak kwestyę postawić — zawołał Dick Leslie śmiejąc się.
— Przyjdzie więc pan po mnie?
— Tak.
— O której godzinie?
— O w pół do dziesiątej.
— Jak mam się ubrać?
— Tak, jak ja. Zdjąć trzeba pierścienie, łańcuszek do zegarka, wszystkie kosztowne rzeczy. Ta restauracya ma fatalną opinię. Nie trzeba mieć również pieniędzy przy sobie.
— A jeżeli John ich zażąda?
— Nie zażądał jeszcze dotąd. Mam wrażenie, że odda nam swoje usługi bezinteresownie, żeby tylko widzieć swoją panią ocaloną. — Ale do tego, trzeba mu pomóc, zwalczyć lęk, jakim go przejmuje Markus Henner.
— Postaramy się o to.
— Eh! To nie będzie tak łatwem. Nie można żartować z hypnotyzmem, kochany panie, a John jest właśnie pod jego potężnym wpływem.
— Wierzę w wolę ludzką.
— Do wieczora więc Ekscelencyo, bo północ już dawno wybiła.
— Dobranoc.
Robert Alimena po odejściu detektywa czuł się silnie podnieconym, ale było to podniecenie wesołe i nieprzykre. Zdawało mu się, że sprawa jego postąpiła już znacznie naprzód, skoro znał nazwisko garbusa i wiedział gdzie się znajduje — a przedewszystkiem zdołał uchwycić kilka szczegółów z życia nieszczęśliwej uwięzionej. W pierwszych godzinach rozmyślania nie wątpił wcale, że kocha ją coraz namiętniej pomimo, iż jej nie znał, pomimo, iż ją raz tylko ujrzał wieczorem w Rzymie. W tych myślach pogrążony przepędził noc, ale nad ranem zmęczony i zdenerwowany zaczął się znowu wahać i niedowierzać.
Skąd mógł mieć pewność, że to, co mu powiedział Dick Leslie nie było wymysłem jego wyobraźni. A może ten Markus Henner nie jest tym, którego poszukuje? Garbus mógł rozmyślnie podejrzywając, że jest śledzony, naprowadzić go na ten mylny trop! Dręczył się temi myślami, kiedy doręczono mu list Silvia Amanti odesłany z Paryża.
— Kochany mój Robercie — pisał uczony — nie pisałem do ciebie dotąd, bo nie miałem nic konkretnego do doniesienia w sprawie, która Cię tak silnie zajmuje. Teraz mogę Ci powiedzieć co następuje. Człowiek, któremu danem było odkryć środek balsamowania trupów nazywa się Markus Henner. Jest doktorem, żydem — jest garbaty i ma zielone oczy. Obecnie znajduje się w Rzymie. Ściskam dłoń Twoją serdecznie — Oddany Ci zawsze — Silvio Amanti.
Żywe uczucie tryumfu ogarnęło Roberta Alimenę. Cel jego życia, dla którego zaryzykował całe swoje istnienie, dla którego znieść miał wkrótce poważny i ciężki proces, zdawał się urzeczywistniać. Drżał na myśl, że wkrótce danem mu będzie ujrzeć tajemniczą kobietę o uciętej ręce, że wkrótce wydrze ją z rąk Markusa Hennera i powie, że bez niej żyć już dalej nie może. O tem, że zdoła rzeczywiście wydrzeć nieszczęśliwą ofiarę ze szponów ohydnego potwora nie wątpił, chociaż miał już dowody, że garbus był wrogiem niebezpiecznym, człowiekiem zuchwałym i potężnym.
Cały ten dzień przesiedział w hotelu, w obawie, że nadejść mogą jakieś niepomyślne wiadomości od Dicka Leslie. Obawiał się również spotkania na ulicy Markusa Hennera i aby ten nie powziął na jego widok jakich podejrzeń.
A zresztą po co Robert Alimena miałby wychodzić z hotelu? Jedynem pragnieniem, które go przywiodło do Londynu, było odkrycie garbusa i wtargnięcie w jego tajemnicę. Szczęście mu posłużyło. W przeciągu trzech dni dotarł do jądra prawdy, która nadpłynęła do niego z dwóch stron równocześnie. Od Dicka Leslie i od profesora Silvia Amanti. Ten zbieg okoliczności wydał się dobrą przepowiednią na przyszłość.
Cały czas Robert spędził na czytaniu, paleniu niezliczonej ilości papierosów i piciu różnych trunków angielskich. Obiad podano mu w małym saloniku, przylegającym do jego sypialnego pokoju, który zjadł z apetytem zabawiając się równocześnie czytaniem „Times'a". Godzina jednak była jeszcze wczesna i wieczór zapowiadał się Robertowi nieznośnie długo. Po krótkim namyśle zamknął wszystkie drzwi, zapalił wszystkie świece, jakie się znajdowały w obydwu pokojach i otworzył przejęty wzruszeniem i uwielbieniem kornem skrzynkę, zawierającą uciętą rękę.
Jaka ona była piękna! A wszyscy przecież mówili mu i utrzymywali, Silvio Amanti, Heliana, że to była ręka istoty umarłej, że marzenie jego było szaleństwem, podczas gdy on trwał niewzruszony w swojej wierze, przeczuwając, że kobieta, do której należała ta ręka, żyje jeszcze, że ją odszuka, pozna i całe swoje życie poświęci, aby ją przekonać o swojej miłości i uwielbieniu. Długa kontemplacya ręki, w ciszy pokoju, podniecila jeszcze bardziej gorącą namiętność Roberta. Po jakimś czasie nie mogąc już znaleźć ujścia dla myśli rozrywających mu czaszkę, powstał, zamknął szybko skrzynkę i zabrał się do pisania następującego listu:
„Maryo! Nie znam cię i Tobie również jestem nieznanym, lecz duszą moją ujrzałem Cię już dawno, wówczas, kiedy w godzinach zniechęcenia i smutku wywoływałem obraz kobiety, kobiety ukochanej i przywoływa'em ją ku sobie, aby tchnieniem swojem i urokiem zechciała ozdobić szare i często gorzkie dni mojego życia. Nie znam Cię, ale wierzę, że istniejesz. Od wczoraj nawet, znanem mi jest Twoje imię, Marya. Nosisz imię najczystszej z niewiast, najświętsze dla mnie, imię mojej matki. Wierz mi Maryo! Kiedy wczoraj usłyszałem dźwięk imienia Twojego, zdało mi się, że słyszałem je już dawno kiedyś wymówione przy mnie, w godzinach mi wspomnieniem najdroższych, w godzinach marzeń i snów najserdeczniejszych. To imię było mi tak znanem, tak bliskiem! Maryo! Maryo! Gdzież jesteś? Gdzie będę mógł odnaleźć Cię! Gdzie będę mógł ujrzeć Cię i uklęknąć u Twoich kolan, ucałować skraj Twojej białej sukni i powiedzieć: — „Pani, oto twój niewolnik do śmierci! Czy ty nie byłaś cała w bieli w ten wieczór lutowy, kiedy Cię ujrzałem w jaskrawem świetle ogni sztucznych na placu Weneckim? Unosiłaś się w powozie i rzuciłaś mi kwiat biały uśmiechając się do mnie tak boleśnie, posyłając mi spojrzenie swoich smutnych, dumnych oczu! Maryo! Maryo! Szedłem za Tobą wśród nocy, biegłem za Twoim powozem, lecz widmo Twoje drogie uciekało przedemną, a wzruszenie nieznane, gwałtowne wstępowało w moje serce, które już uchodząc zabierałaś z sobą! Straciłem Cię z oczu i wówczas zdawało mi się, że wraz z Twoim widokiem ginie dla mnie świat cały!
Ale ty jesteś teraz w Londynie, niedaleko mnie, niedaleko mojego pragnienia i miłości. Jutro może ujrzę Cię duszo moja, życie moje, moja droga, nieznana kobieto, tak piękna, nieszczęśliwa i godna uwielbienia! Oh! jakąż ja straszną boleść wyczytałem w Twoich oczach! Ile tortur okropnych przeżytych odgadłem w Twojem spojrzeniu! Te tortury zadane Ci przez potwora, który Cię strzeże, który Cię więzi, który wzbrania Ci wolności, szczęścia i miłości! Ile Ty łez wylać musiałaś Maryo! Jaka mgła łzawa przymglić musiała Twoje oczy! Jaka gorycz wezbrać musiała w duszy Twojej i bladością naznaczyć twarz Twoją drogą! I kiedy pomyślę, że podczas kiedy Ty cierpiałaś tak bezdennie, ja, nieświadomy wszystkiego, zdala od Ciebie, oddawałem się lekkim przyjemnościom życia — rozpacz mnie ogarnia! Jakże żałuję teraz tych godzin straconych, bo dla mojego szczęścia Maryo, poznałem Cię za późno!
— Maryo, czy to naprawdę zapóźno!? Czy i Ty sądzisz, że to zapóźno? Nie! to być nie może! Bo życie zaczyna się dopiero wtedy, kiedy zaczyna się miłość. Bo tego dnia, w którym Cię wydrę temu wstrętnemu potworowi, zmartwychwstaniesz do piękniejszego życia i staniesz się napowrót młodą i silną!
Oh! Maryo! Maryo! Wypłaczesz na mojej piersi te wszystkie niewypłakane jeszcze dotąd łzy, a ja je zetrę swoimi pocałunkami i pieścić będę Twoje piękne, czarne oczy, które tak smutnie spojrzały na mnie na placu Weneckim, w ów wieczór niezapomniany! Choćbym miał życie stracić, uwolnię Cię od Markusa Hennera! Czułbym się szczęśliwym mogąc umrzeć dla Ciebie, Maryo — bo do czego służyło dotąd moje życie!? Jakąż lepszą śmierć mógłbym pragnąć dla siebie nad śmierć, w którejbym duszę swoją i każdą kroplę krwi oddał za Ciebie!?
Kto Ty jesteś Maryo? Gdzie jesteś? Nic nie wiem o Tobie. Wiem tylko, że ja jeden, jedyny wierzyłem w Twoje istnienie, że ja jeden tylko zapragnąłem Cię odszukać, wierząc, że Cię znajdę! Uwierzyłem w cień Twój drogi, Maryo! Któryż z ludzi zdołał w ten sposób przeczuć duszę drogą! Któryż z kochanków rozkochał się najsamprzód w myśli, w obrazie, w marzeniu i zaufał cieniowi, przysięgając mu miłość wieczną!? Kto — jak nie ja! Czułem, że żyjesz Maryo! Uczułem to w tej chwili jedynej, w której po raz pierwszy ujrzałem Twoją rękę!
Maryo! Maryo! tę rękę, która wpadła w moc moją przez przypadek tak dziwny, która sama podsunęła się oczom i ustom mojem, tę rękę uwielbiam Maryo, bo ona jest cząstką Ciebie, bo drżę z rozkoszy i grozy patrząc na nią, myśląc o okropnym potworze, który Cię posiadał i taką straszną zbrodnię na Tobie popełnił! Boże! Boże! Jakąż ja torturę wymyślę dla tego nikczemnika, dla tego kata, aby go ukarać za ten czyn nieludzki! Chciałbym, aby cierpiał stokroć więcej jeszcze, niż Ty cierpiałaś droga moja Maryo! Czy przyjdzie chwila, że go mieć będę w mocy swojej? I zdaje mi się Maryo, że ta biedna ręka twoja, oderwana w tak barbarzyński sposób od Twojego pięknego ciała, oderwana w celu spełnienia niewiadomo jakiego tajemniczego przeznaczenia — wyciąga się niekiedy ku niebu, jakgdyby chciała stamtąd zawezwać pomocy i zemsty!

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staroszewskiej.

TOM II.

37

— Gdyby znał, nie czyniłoby to żadnej różnicy.

— Myślę, że przeciwnie.

Z uśmiechem wstrząsnęła głową.

— Zawsze nosiłabym etykietkę: „kobieta, której trzeba się strzedz“. Ale, co to mnie obchodzi? Nie wyszłam przecież za niego. Gdyby tak było, ah, w takim razie byłabym najnieszczęśliwszą kobietą na ziemi... teraz.

Usiadł obok niej.

— Ruby, dlaczego powiedziałaś „teraz“ w ten sposób?

— Oh — mówiła lekkim, lecz trochę wymuszonym tonem — dlatego, że teraz żyję w atmosferze zaufania i to mnie zepsuło.

Uczyniło mu się jasno w duszy. Nareszcie zapomniała bolesną scenę w ogrodzie, o co się tak usilnie starał.

— Rad jestem — rzekł z angielską prostotą — Rad jestem. Chciałbym, żeby Isaacson o tem wiedział.

— Nie mówiłem ci — dodał — pisałem do Isaacsona.

— Pisałeś?

Opuściła ręce na kolana i zacisnęła palce.

— Tak, wysłałem porządny list. Powiedziałem mu, że będziemy płynęli po Nilu na łodzi Barondi'ego i jak wspaniale wyglądasz i jak niezmiernie jesteśmy szczęśliwi. Powiedziałem mu, że będziemy unikali turystów i że będziemy żyć tylko dla siebie w spokojnych miejscowościach, gdzie niema statków, ani dahabijeh. Dodałem także, jak doskonałem cieszę się zdrowiem.

— Ah! zwracając się do niego jak do sławnego lekarza!

Podniosła rękę i ujęła poręcz krzesła.

— Nie. Lecz byłem zupełnie otwarty, pisząc do niego. Dałem mu do zrozumienia jak jest między mną, a tobą. Pisałem o dahabijeh, jak jest wspaniałym i o Barondim i o tem jak Ibrahim podsunął Barondi'emu myśl wynajęcia nam tej łodzi.

— Tak, widzę.

— Jak te krzesła skrzypią! — rzekł — zwłaszcza twoje.

Wstała.

— Nie idziesz znowu na dół?

— Nie. Przejdźmy się trochę.

— Dobrze.

Zaczęli się przechadzać podczas gdy złoto stawało się coraz bledsze na niebie i na rzece. Milczała i widocznie jej milczenie udzieliło się i jemu gdyż nie powiedział słowa, aż słońce zaszło i woda, pustynia, zielone równiny, jałowe pagórki zbladły i poszarzały. Wreszcie się odezwał:

— Co ci jest, Ruby! O czem myślisz tak głęboko!

— Nie wiem.

Spojrzała na niego.

— Owszem, wiem.

— Czy powiedziałem coś, co ciebie dotknęło? Czy jesteś niezadowolona, że pisałem do Isaacsona o naszem szczęściu?

— Dotknięta — nie, nie jestem. Lecz — mężczyźni nie rozumieją takich rzeczy, nie warto o tem mówić.

— Ale ja chcę wszystko rozumieć. Widzisz Isaacson jest moim przyjacielem. Czy to nie naturalne, że zawiadamiam go o naszem szczęściu?

— O tak, przyznaję. Lecz właściwie, co mu do tego?

— Jesteś niezadowolona, że do niego pisałem?

— Jestem szalona, Nigel — to prawda. Lękam się wszystkich i wszystkiego.

— Lękasz się? Nie Isaacsona, chyba?

— Mówię ci, że się obawiam każdego.

Stanęła przy poręczy i patrzała na zachód.

— Szczęście wydaje mi się czemś tak kruchem, że każdy może je złamać. A mężczyźni — wybacz mi — mężczyźni mają takie szorstkie ręce.

Oparł się o poręcz obok niej.

— Nie przypuszczasz chyba, żeby Isaacson mógł złamać nasze szczęście, nawet gdyby chciał to uczynić?

— Dlaczego nie?

— Czy mnie jeszcze nie poznałaś?

Głos jego drżał głębokiem uczuciem.

— Czy myślisz — ciągnął dalej — że człowiek, który jest cośkolwiek wart pozwoliłby nawet swemu najlepszemu przyjacielowi wejść pomiędzy siebie i kobietę, którą kocha, która do niego należy? Czy myślisz, że pozwoliłbym komukolwiek wejść pomiędzy nas?

— Czy jesteś tego pewny?

— Jaka to musi być tragedya być tak nieufną w miłości, jaką ty jesteś! — rzekł prawie gwałtownie.

— Nie przeżyłeś mego życia.

Ona także mówiła gwałtownie.

— Nie żyłeś lata całe w ogólnem potępieniu. Twój przyjaciel Isaacson potępia mnie tajemnie. Wiem o tem. Dlatego się go obawiam. Nie twierdzę, że mam do tego realną podstawę — podstawę, którąby przekonała mężczyznę. Kobiety nie potrzebują takich podstaw, aby się obawiać.

— A jednak mówisz, że lubisz Isaacsona!

Pod pewnym względem — tak. A właściwie myślałam, że tak, dopóki nie powiedziałeś, że pisałeś do niego o nas, o naszem życiu na Nilu.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Oh! — rzekł zbliżając się do niej — nigdy nie zrozumiem kobiet. Co za powód nielubienia człowieka oddalonego od nas o setki mil.

— Setki mil — tak! A jeżeli twój list sprowadzi go do nas? Jeżeli sobie uroi, że musi tutaj przyjechać i osobiście się przekonać, czy pisałeś prawdę?

— Ruby! Jakie masz dzikie przypuszczenia.

— Nie tak dzikie, jak myślisz. Dr Isaacson zdolnym to uczynić.

— Dobrze, a gdyby nawet...

— Chcesz tego? -- przerwała mu.

Zawahał się.

— Chcesz — rzekła z goryczą — A ja myślałam, że tobie wystarczam!

— To nie to. Ruby — to wcale nie to. Ale przyznaję się, że radbym żeby Isaacson sam się przekonał, jak jesteśmy szczęśliwi.

— Czy powiedziałeś to w swym liście?

— Nie, ani słowa. Lecz myślałem o tem pisząc. Czy to nie była myśl naturalna? Isaacson był prawie moim powiernikiem — nie zupełnie, bo nikt nie był zupełnie — moich uczuć i zamiarów względem ciebie przed naszem małżeństwem.

— Gdyby mógł przeszkodzić małżeństwu, byłby przeszkodził.

— I dlatego, jeżeli twoje przypuszczenie byłoby prawdziwe, nie chcesz, żeby nas widział szczęśliwych?

— Nie chcę go tutaj; nie chcę nikogo. Czuję, że starałby się nas rozłączyć, nawet teraz.

— Mógłby się starać aż do sądnego dnia na próżno. Lecz widzę, że nie jesteś dla niego dobrze usposobiona.

— On nigdy nie będzie dobrze usposobionym dla mnie. Lecz oto posiniało nareszcie.

Spoglądnęli w milczeniu na magiczny wygląd pagórków i nieba na zachodzie. Kiedy cudowne oświetlenie rozpłynęło się w nadchodzącej nocy, Nigel doznał wrażenia, że wszelki zamęt w jego myślach i uczuciach zniknął i że jest znowu w zgodzie z samym sobą.

— To mi daje uczuć, jak gdybym rozumiał wszystko w tej chwili — rzekł — Ruby, nie wikłajmy się w żadne trudności. Mamy tutaj tak dobrą sposobność do spokoju, wszak prawda? Będziemy więcej niż szaleni, jeżeli jej nie wyzyskamy. Rozumiem, że twoje życie uczyniło cię podejrzliwą. Sądzę, że rozumiem trochę twoją obawę, ale jest ona zupełnie bezpodstawną, o ile mnie dotyczy. Nikt na świecie nie będzie mógł stanąć między mną, a tobą. Tylko jedna osoba mogłaby nas rozłączyć.

— Kto?

— Ty sama. Słuchaj! żeglarze śpiewają. Przypuszczam, że już zatrzymujemy się na noc.

Tej nocy, kiedy Mrs. Armine leżała nie śpiąc w kajucie, która była sypialnią Barondi'ego, i która w przeciwieństwie do innych kajut była utrzymaną w ciemnych barwach i ściśle wschodnim stylu — myślała o południowej rozmowie z mężem i postanowiła sobie panować więcej nad nerwami i uważać na swój temperament. Mimo woli dała się unieść, straciła panowanie nad sobą nie zupełnie jednak, gdyż użyła prawdy, jakby kłamstwa na swą korzyść. Lecz mówiąc tak jak mówiła o Meyerze Isaacsonie dała poznać, że się go boi, lub, że w przyszłości będzie się go bała. Dlaczego Nigel pisał do niego teraz właśnie? Dlaczego teraz właśnie zwrócił uwagę Isaacsona na nich i na ich pożycie? To było zupełne naturalne ze strony Nigla, że pisał do swego przyjaciela. Niemniej jednak pragnęła żeby Isaacson nie był jego przyjacielem, żeby śmiałe oczy doktora, które zdawały się przenikać do głębi nie były nigdy na niej spoczęły.

A przedewszystkiem pragnęła, żeby te oczy już nigdy więcej jej nie widziały

V.

Pewnego poranku przy końcu stycznia w domu na Claveland Square Meyer Isaacson czytał list Nigla:

Willa Andrond, Luksor, Górny Egipt, 21-go stycznia.

Kochany Isaasonie!

„Oto pierwszy list, który do ciebie piszę po przesłaniu zawiadomienia o mojem małżeństwie. Twój miły list w odpowiedzi otrzymałem i pokazałem go Ruby, która była nim na równi ze mną ucieszona. Polubiła Cię odrazu i myślę, że zawsze pragnęła lepiej Ciebie poznać, od kiedy uprzyjemniałeś jej samotny pobyt w Londynie. Mam nadzieję, że kiedyś będzie miała do tego sposobność, lecz teraz bierzemy rozbrat ze wszystkimi i oddajemy się Nilowi. To Ciebie może zdziwi? Myślałeś pewnie, że będę pracował w Fayum pilnując moich brunatnych robotników? Jestem zapalony do pracy jak zawsze i gdybyś mnie widział przed kilku dniami po kolana w błocie, czarnego i zasmolonego jak palacz, byłbyś się o tem przekonał. Moja żona była ze mną w Fayum, żyła jak prawdziwa spartanka. Odprawiła swą francuską pokojową, ażeby być zupełnie swobodną i mieszkała w namiocie, żywiła się byle jak, słowem, zastosowała się zupełnie do koczowniczego życia w dzikiej miejscowości, pomimo, że nieraz musiała się wyrzec wygody. Lecz nigdy się nie skarżyła; wygląda po prostu wspaniale — o całe lato młodziej, niż kiedy ją widziałeś w Londynie — i nie chce słyszeć o żadnej pokojowej, chociaż teraz mogłaby sobie na nią pozwolić. Lecz czułem, że nie powinienem trzymać jej tam za długo, zwłaszcza na początek, pomimo, ze byłaby ochotnie została, nie chcąc mnie odrywać od mojej pracy. Wiedziałem, że naturalnie życzy sobie widzieć cudo Egiptu i ostatecznie postanowiliśmy wynająć dahabijeh i płynąć po Nilu i jesteśmy w przededniu naszego wyjazdu. Gdybyś widział naszą łódź, Lonlię! jest skończoną pięknością i za wyjątkiem kilku głupich szczegółów, których nie mam czasu opisywać, byłbyś nią zachwycony. Sypialnie są paryskie, lecz saloniki, to czysto wschodnie pokoje. Powiesz: „Paryż i Wschód nie idą razem“. Prawda! Lecz to bardzo miło żyć w romantyczności w dzień, a w nowoczesnym komforcie w nocy. Nieprawdaż? Zwłaszcza po Fayum. Mamy nawet fontannę na statku, nie mówiąc o tuzinach kobierców, wspanialszych niż jakiekolwiek z tych, które widziałem w bazarach w Kairze. Nie wynajęliśmy tej łodzi od Cook'a, lecz od pewnego egipskiego milionera z Aleksandryi, Mahmud Barondi'ego, którego spotkaliśmy w drodze i tak się zdarzyło, że właśnie teraz chciał znaleźć dzierżawcę na swój statek. Nie dlatego, żeby potrzebował moich pieniędzy, płacę mu tyle, wielebym płacił Cook'owi za pierwszorzędną łódź, lecz nie chce, żeby jego załoga i służba pozostawały bezczynne. Poszukiwał jakiegoś bogatego amerykanina — jak prawie wszyscy tutaj — kiedy usłyszał od jednego z naszych służących — pierwszej klasy chłopiec, zwany Ibrahim — że potrzebujemy dobrej łodzi i tak ugoda stanęła. Nie mamy żadnego określonego planu. Chcemy się trzymać zdala od turystów, przebywać razem w roskosznych ustroniach Nilu, zwiedzać spokojnie świątynie i grobowce, wejść w życie tubylców — słowem zanurzyć się po uszy w wodach świętej rzeki. Nie mogę Ci wypowiedzieć, jak bardzo oboje cieszymy się na tę myśl. Isaacsonie, jesteśmy szczęśliwi! Tutaj, w tym klimacie, w tem powietrzu i świetle — często je porównuję do promiennej szczerości — trudno nie być szczęśliwym; lecz zdaje mi się, że jesteśmy szczęśliwsi, niż większość ludzi tutaj, śmiem nawet powiedzieć, niż gdziekolwiek. I mówię to rozważnie, bez przesądnej bojaźni o przyszłość. Słońce obrzuca mnie swemi promieniami, podczas gdy to piszę, słyszę głosy śpiewających żeglarzy; widzę moją żonę w ogrodzie idącą nad rzekę i mam tę wycieczkę przed sobą. A wreszcie, nie zapominaj, cieszę się doskonałem zdrowiem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Doczekaliśmy się zatem szczęśliwie maja, ba, nawet przebyliśmy jego trzecią część.

Czy jednak wyrażenie „doczekaliśmy się szczęśliwie" jest odpowiednie, to zależy od tego, jak się kto zapatruje na tę kwestyę, czyli mówiąc stylem naszych dzienników, „z jakiej platformy".

To jedno może pocieszać, że jest to najkrótszy miesiąc w roku, składa się bowiem zaledwie z trzech liter, łatwo więc będzie go jakoś przetrzymać. Niestety, odnosić się to może tylko do tych, dla których wystarczy zupełnie śpiew słowika, zapach bzu i tym podobne majowe przyjemności. Inni, zapatrujący się prozaiczniej na świat i życie, nie chcą o tem zapomnieć, że liczy on przecież trzydzieści jeden dni, że należy zatem do miesięcy trudnych do przetrzymania. Jedzenie jest paskudnem przyzwyczajeniem, nie potrafimy się przecież obywać bez niego, choć pan minister aprowizacyi stara się oduczyć nas od tego, a do tego dążą jego zarządzenia, które wspólnie z tem, co dotąd zdziałali jego poprzednicy, odbiło się bardzo boleśnie na nas właśnie w pierwszym tygodniu maja. Zaczął on się w niedzielę, kiedy zjeść co trudno, o ile się w sobotę nie porobiło zapasów, a nie każdy o tem pamięta i nie każdy, zwłaszcza przy końcu miesiąca, może sobie na to pozwolić. Nie pozostawało zatem nic innego, jak tylko wzięcie udziału w obchodzie „święta pracy", połączonego z całodziennem próżniactwem, tym razem podwójnem, gdyż ustawowem, ze względu na spoczynek niedzielny i ideowem w myśl przekonań politycznych. Próżne żołądki przyczyniły się do tego, iż „Czerwony sztandar" nabrał i wyrazistości i mocy. Niektórzy z uczestników śpiewali go nawet z wściekłością nie skierowaną jednak przeciw klasom posiadającym, ale spowodowaną przeświadczeniem, że dziś, w podwójne święto, trzeba się będzie obejść bez obiadu. Tak to wojna wpłynęła na zmianę społecznych stosunków. Dawniej czciliśmy święta obżarstwem, dziś używamy do tego postu, pragnienie jedynie nic na tem nie cierpi, o ile kto chce je gasić wodą lub alkoholem, nie więcej jak dwa i pół procentowym, zatem... wodą denaturowaną.

Po niedzieli następuje zwykle poniedziałek, tak też było i w ubiegłym tygodniu. Gospodynie, które pospieszyły do jatek i sklepów masarskich wróciły z niczem, gdyż członkowie sławetnego cechu rzeźników zarazili się widocznie od szewców i urządzają stale *blaumontagi*.

Zatem drugi dzień głodówki, lecz jednak od poprzedniego przyjemniejszy, gdyż robaka można zalać czemś bardziej konkretnem.

Na wtorek wypadł w bieżącym roku „Trzeci Maj", obchodzony po raz pierwszy oficyalnie jako święto narodowe, zatem z zastosowaniem wszystkich przepisów, odnoszących się do spoczynku niedzielnego; co miało w następstwie trzeci dzień „bez obiadu".

Kto myślał, że sobie to odbije we środę, ten widocznie o tem zapomniał, że jest to dzień postu urzędowego, a po nim idzie czwartek, znów święto i to podwójne, gdyż kościelne i Napoleońskie, następuje drugi dzień urzędowego postu, to jest piątek.

Kto zatem przez sześć dni tak wytrwale pościł, ten się już w sobotę o jedzenie nie upomniał nawet. Pan minister aprowizacyi może być dumny z tego, że z zarządzenia jego taki odniosły skutek, że porobił z nas Mac Sviney'ów, na małą wprawdzie skalę, ale mogących artystycznem głodowaniem zarabiać sobie na kawałek chleba. Jeżeli się to obliczy na gotówkę, przekonamy się, że kraj cały oszczędził w ten sposób miliony, nie mówiąc już o kłopotach, których oszczędzono panu ministrowi.

I żałować serdecznie należy, że właśnie teraz, gdy starania jego zaczynają już wydawać tak piękne owoce, podaje się do dymisyi.

Nie wszyscy jednak wzięli sobie do serca rozporządzenie „głodowe" pana ministra wyżywienia, jak bowiem donosi nasz sprawozdawca, w pewnej szkółce frebiowskiej, gdzie miano zająć dzieci robieniem figurek z patyczków, nabijanych w ziarnka grochu, i w tym celu oba te przedmioty dano dzieciom, zgłodniałe maleństwa zjadły groch, bardziej żarłocznie zabrały się nawet do ogryzania patyków, wyrządzając w ten sposób szkole szkodę, grożącą jej unieruchomieniem na czas dłuższy, jeśli się zważy, jaki dziś groch drogi i jak trudno go dostać. Zarząd szkoły zwrócił się wprawdzie do Ministerstwa W. R. i O. P. z prośbą o subwencyę na zakupno niezbędnych środków naukowych, które pozwoliłyby nie przerywać toku zajęć, wątpić przecież należy, czy to odniesie pożądany skutek, zwłaszcza jeśli się zważy, że Warszawie nigdy się nie spieszy, a nadto doda, że teraz wszyscy mają tam zajętą głowę przygotowaniami do zbliżającej się kampanii wyborczej.

Całe szczęście, że groch ten i patyki dzieciom nie zaszkodziły, zwłaszcza zaś groch, gdyż patyki były należycie wyschnięte i sporządzone z drzewa hygienicznego. Na szczęście nie było to jednak owa trująca fasola *(Fasolus lunatus)*, przed której używaniem, jako zawierającej kwas pruski, przestrzega Dr Beer (łotry Prusaki nawet we fasoli czyhają na naszą zgubę!...). Był to sobie nasz niewinny groch okrągły (*Pisum sativum*), nie wywołujący poważniejszych następstw.

Skoro mowa o obchodzie pierwszego i trzeciego maja, warto dodać, że obydwa wypadły zupełnie mdło, zwłaszcza zaś ten drugi. Za byłych austryackich czasów jakoś żywiej zajmowano się i urządzeniem i obchodem tej narodowej rocznicy, dziś spostrzegać się daje pewna ospałość w tym kierunku. Czy dzieje się to z tego powodu, iż dawniej, obchodząc rocznicę wiekopomnej Konstytucyi starano się pokazać Austryakom, że w nas przecież bije polskie serce, a dziś tego już nie potrzeba, czy też z innego jakiegoś, bliżej nam nieznanego powodu, tego nie wiemy, w każdym razie konstatujemy fakt, brzydko świadczący o narodowem poczuciu większości ogółu, wolącego ten czas obrócić na załatwianie swych interesów.

— Patryotyzm jeść mi nie da. Muszę się sam starać o chleb dla siebie i swoich — mówi taki pan i zdaje mu się, że ma racyę, jest zatem zadowolony, a wiadomo, że wewnętrzne zadowolenie, zwłaszcza ze samego siebie, jest połową szczęścia.

Niestety, takich jest zbyt wielu, każdy potrafi wmówić w siebie, że się tam bez niego obejdzie, są inni, zatem braku jego osoby nikt nie spostrzeże. — I gdyby nie grająca muzyka, która ściąga gapiów, łatwo stać się mogłoby, iż na obchodzie narodowym nikt się u nas nie pokaże. Czy to jednak mądra choć wygodna i korzystna polityka, niech sobie dośpiewają w sercu ci, do których się te słowa odnoszą.

Załatwiwszy się w ten sposób z początkiem maja i z tem wszystkiem, co z nim miało jakąś styczność lub choćby luźny tylko związek, musimy się zabrać do jego końca, co będzie połączone z pewnem wytknięciem, skierowanem w stronę pana ministra aprowizacyi, który tak troskliwie stara się o to wszystko, co dotyczy żołądka. Żołądki nasze, w uznaniu tej jego troskliwości nie powinny też o nim zapominać, ale wspominać go często, choćby nawet głosem, nastrojonym na smętną nutę...

Czy panu ministrowi wiadomem jest, że Redakcya „Kuryera Codziennego" urządza w dniu 29 maja bieg okrężny na przestrzeni sześciu kilometrowej, a do wzięcia w nim udziału zaprasza wszystkich obywateli, mających nogi nie od parady? A chyba panu ministrowi wiadomo, że każdy ruch podnieca apetyt, że zatem tak sam bieg, jak i przygotowania do niego (training) zagrażają poważnie aprowizacyi.

I co pan minister na to?... Czy fakt ten przeoczył, czy też nie docenia jego doniosłości?... A może i sam zechce wziąć w nim udział i dlatego podał się do dymisyi...

Jeśli tak, życzymy mu powodzenia, większego, niż w urzędowaniu i zdobycia pierwszej nagrody w postaci puhara... Szkoda tylko, że z powodu niedzieli, pokrzepienie się z niego trzeba będzie w myśl ustawy odłożyć na poniedziałek.

Narzekamy stale na brak artykułów spożywczych, a wyszukujemy sami sposobności, aby się wzmagała ich konsumpcya...

Z powodów zatem jak wyżej, to jest, aby niepotrzebnie nie drażnić apetytu, nie weźmie kronikarz osobistego udziału w owym biegu okrężnym. Dziś, gdy chodzi powoli, ma z nim kłopot nielada i bardzo często nie ma go czem zaspokoić, cóż byłoby dopiero po takim sześciokilometrowym biegu i to do tego z przeszkodami, jeśli się zważy, że krakowskie bruki są przedwojenne, to jest mocno nadgryzione zębem czasu, a magistrat nie może się jakoś zdecydować na ich naprawę, raz tłómacząc się brakiem czasu, to znów rąk do pracy, wreszcie materyału i funduszów, kasa miejska bowiem, choć różne podatki i opłaty mnożą się, niczem grzyby po deszczu, świeci stale pustkami (prawdopodobnie w zastępstwie latarni na ulicach, które się przeważnie nie świecą...).

Od wzięcia udziału w owym biegu wstrzymuje kronikarza ponadto oszczędność, całe bowiem podeszwy u trzewików to dziś prawdziwy majątek, takie zaś sześciokilometrowe przekłusowanie się po krakowskim bruku grozi im zupełną ruiną. Nasi panowie tracili dawniej majątki na wyścigach, dziś może to łatwo spotkać lada chudopachołka, który z takiego biegu wróci bez... podeszew, poniesie zatem, obliczając według dzisiejszych cen, stratę idącą w tysiące marek. Ponadto nie nęci i owa nagroda honorowa w postaci puhara, która ma być „nagrodą wędrowną", to jest, że szczęśliwy zwycięzca może się nią cieszyć jedynie do czasu następnego biegu, a potem musi ją oddać następcy. Uczestnicy biegu otrzymają wprawdzie honorowe żetony, ale one nie zastąpią podeszew. Bardziej zachęcająco podziałałaby na szerokie koła naszych sportowców wiadomość, że każdy z biorących udział w wyścigu, ma prawo ubiegania się o... parę zelówek.

Mimowoli przypominają się nam dawne czasy, mianowicie okres „pęcznienia" Krakowa, to jest przyłączenie doń gmin podmiejskich. Dowiedzieliśmy się wówczas, że któryś z wójtów, na Dębnikach, w Zakrzówku, czy też gdzieindziej, pobierał tytułem wynagrodzenia z kasy gminnej sześćdziesiąt guldenów rocznie, jedną parę butów i jedno podszycie.

Ponieważ prezydent Wielkiego Krakowa skupił w swem ręku władzę tych dygnitarzy, powinien był także otrzymać ich pobory i deputaty, co zwłaszcza ze względu choćby tylko na owe „buty i podszycia", robiłoby go w obecnych warunkach milionerem. Miałby tyle par, że wystarczyłoby dla niego i dla bliższej i dalszej rodziny, nadmiarem zaś mógłby się śmiało podzielić z potrzebującymi, a stałby się ich prawdziwym dobrodziejem.

Kronikarz byłby pierwszy z starających się, jeśli nie o „parę", to bodaj o „podszycie", choć bowiem w żadnym biegu dotąd nie brał udziału, jego podeszwy przedstawiają stan tak opłakany, iż bardzo łatwo mogłyby stanowić temat do napisania tragedyi. Co zaś najważniejsza, stracił je przez źle pojętą oszczędność.

Pudełko zapałek kosztuje, jak wiadomo, cztery marki, jest zaś w niem niespełna sztuk pięćdziesiąt, daleko wydatniejsze są natomiast tak zwane „kuchenne", których w paczce znajdujemy więcej niż sto, ponadto można je zapalić przez potarcie o jakikolwiek przedmiot. Z tego powodu nazywają je też „zapałkami oszczędności".

Motywy te skłoniły zatem panią Weronikę, iż zaopatruje dom jedynie w te zapałki. Mają one to do siebie, że ładnie pachną przy zapaleniu, niestety, wiele z nich, zapewne ze względu na oszczędność, cierpi na „bezhołowie". Każda paczka ma wprawdzie spodnią powierzchnię obsypaną piaskiem, aby łatwiej było zapałkę zaświecić, ściera się ona przecież, jeśli tam była wogóle, już przy pierwszem potarciu. Należy zatem wynaleźć sobie inną powierzchnię chropowatą do pocierania. Ściany mieszkania są wykluczone, aby tychże nie uszkodzić, z tego samego powodu także i meble, oraz froterowane posadzki, by ich nie zarysować, z każdą zaś zapałką chodzić do kuchni lub do sieni, aby ją tam o deskę potrzeć, chyba się nie opłaci. — Kronikarz zatem, aby sobie ułatwić bytowanie, myślał dotąd, aż wpadł na genialny, jak się mu wydawało wynalazek, wart opatentowania. Należy potrzeć zapałkę o podeszwę trzewika i skutek jest natychmiastowy. Wpływa to bardzo dodatnio i na zdrowie, gdyż połączone jest z lekką gimnastyką nóg, fatalnie niestety, jak się o tem sam przekonał, odbija się na podeszwach... W ciągu miesiąca poszła jedna z nich na marne, ten sam los czeka niebawem drugą, gdyż Weronika obliczyła, że przez zakupno tych zapałek oszczędziła w kwietniu trzydzieści dwie marki.

Przy stosowaniu oszczędności należy zatem być bardzo ostrożnym, aby nie wyjść na tem, „jak Zabłocki na mydle", lub kronikarz na zapałkach, który w dni deszczowe nie może wychodzić na ulicę, by sobie nóg nie zamoczyć. I to przecież połączone jest z pewną oszczędnością, każdy bowiem wychód do miasta" połączony bywa z zasady z wydatkami, słusznie zatem i sprawiedliwie, że zapałki te nazywają się „oszczędnościowemi", a Weronika wie dobrze, dlaczego je kupuje.

Mądra to niewiasta i dlatego stale powtarza:

— Słuchaj mnie, a będą z ciebie ludzie!...

Dla spokoju domowego musi się zaś potulny małżonek do jej rozkazu zastosować...



Delegacya paryskiej Rady miejskiej w Warszawie.

(Do illustracyi na str. 4).

Wzajemny stosunek Polski i Francyi zacieśnia się z dniem każdym. Jest to prawdziwa *entente cordiale*, podyktowana nietylko wspólnymi interesami, ale mająca głębsze swe podstawy. Widomym jej znakiem była niedawna podróż Naczelnika Państwa do Paryża i jego entuzyastyczne przyjęcie przez naród francuski, obecnie zaś gościna delegacyi paryskiej Rady miejskiej, która przybyła do Warszawy celem wzięcia udziału w obchodzie stuletniej rocznicy Napoleona.

W przeddzień uroczystości Napoleońskich przybyli do Warszawy przedstawiciele władz municypalnych paryskich. Na dworcu witali gości w imieniu Naczelnika Państwa pułkownik Budkowski, dalej jenerał Niessel, poseł francuski Panafieu, prezydent Drzewiecki, prezes rady miejskiej Baliński i w. i. Orkiestra odegrała „Marsyliankę" i polski hymn narodowy, poczem goście odjechali samochodami, witani przez licznie zgromadzoną publiczność głośnymi okrzykami na cześć Francyi.

Nazajutrz wzięli udział francuscy goście w mszy polowej na Placu Saskim, odsłonięciu pomnika Napoleona na Placu dawniej Wareckim, dziś „Placu Napoleona", oraz innych uroczystościach związanych z tą rocznicą. Następne dni poświęcili delegaci francuscy oficyalnym wizytom i zwiedzaniu pamiątek miasta, spotykając się wszędzie z nadzwyczaj serdecznem przyjęciem i zbierając na każdym kroku dowody szczerej sympatyi narodu polskiego dla Francyi. Wszystkie sfery warszawskiego społeczeństwa dołożyły starań, aby francuskim gościom, pobyt nad Wisłą pozostał na długo w pamięci i by wywieźli stąd jak najlepsze wrażenie. Zwiedzili oni przy tej sposobności najważniejsze instytucye miejskie, zapoznając się z naszą gospodarką gminną, oraz złożyli wieniec u stóp krzyża Traugutta.

Przewodniczący delegacyi Corbeiller złożył na ręce prezesa Rady miejskiej Balińskiego trzy tysiące franków na cele ogólne do jego uznania.

Odjazd delegacyi francuskiej nastąpił dnia 7 maja wieczorem. Gości żegnali na dworcu kolejowym przedstawiciele władz, jen. Niessel, oraz członkowie Komitetu Napoleońskiego.

Z okazyi rocznicy śmierci Napoleona przybył również do Warszawy delegat Komitetu paryskiego jenerał du Morier, który przywiózł do Warszawy kapelusz Napoleona, który tenże nosił w kampanii 1914 i 1815 roku, szpadę z pod Marengo, order i gwiazdę Legii honorowej, którą nosił jako cesarz. Złożył to wszystko na ręce jenerała Sikorskiego w sztabie, poczem cenne te pamiątki przewieziono pod eskortą do szkoły podchorążych. W czasie uroczystości Napoleońskiej były one wystawione na Placu Saskim, następnie przez dwa tygodnie będą dostępne dla szerszej publiczności w Muzeum narodowem w Warszawie, poczem powrócą do Muzeum narodowego w Pałacu Inwalidów w Paryżu.



W rocznicę wiekopomnej Konstytucyi: Czoło pochodu na ulicy Marszałkowskiej w Warszawie. Fot. M. Fuks, Warszawa.



W rocznicę wiekopomnej Konstytucyi: Tablice antikomunistyczne w warszawskim pochodzie. Fot. M. Fuks, Warszawa.

W rocznicę wiekopomnej Konstytucyi.

W szeregu uroczystości, jakie przypadły na początek maja, zajęła bardzo poczestne miejsce stotrzydziesta rocznica wiekopomnej Konstytucyi. Obchodzono ją, jak zresztą corocznie, w całym kraju nadzwyczaj uroczyście, szczególniej w Warszawie wypadła ona nadzwyczaj okazale. Warszawa stwierdziła, że życie narodowe wre tam w całej pełni i że niesłusznymi są zarzuty, czynione części tamtejszej ludności, jakby hołdowała hasłom przewrotowym.

W dniu 3 maja już wczesnym rankiem przybrała Warszawa odświętny wygląd.

Od godz. 8·45 zaczęły nadciągać na Plac Zamkowy jedna za drugą kompanie piechoty z ochoczym śpiewem na ustach, jak niemniej szkoły powszechne męskie i żeńskie pod wodzą nauczycielstwa. Osobliwsze zainteresowanie wśród tłumów, jakie zaległy cały Plac Zamkowy, wywołał oddział marynarzy oraz konnica, która ulokowała się na Zjeździe, a częściowo w ul. Podwale.

Około godz. 9·30, gdy Plac Zamkowy obstawił podwójny szpaler piechoty, a pod kolumną Zygmunta umieściły się muzyki wojskowe 21, 36 i 78 pułku piechoty, 1 p. artyleryi i szwoleżerów, oraz 1. p. piechoty legionowej, nadjechał dowódca warsz. O. G. jen. Iwaszkiewicz, który dokonał przeglądu wojsk.

Tymczasem samochody bądź powozy zwoziły jeneralizacyę i misye zagraniczne. Pośród przybyłych do katedry św. Jana byli: jen. Niessel w towarzystwie licznej grupy oficerów francuskich, posłów państw sprzymierzonych w strojach galowych, grono posłów sejmowych, jen. Carton de Viart i jeneralicya polska.

Punktualnie z uderzeniem godz. 10-tej nadjechał p. Naczelnik Państwa, który po odbyciu przeglądu oddziałów piechoty, ustawionych wzdłuż czterech boków Placu Zamkowego udał się do Katedry, gdzie ks. kardynał Kakowski odprawił mszę św.

Po skończonem nabożeństwie odbyła się defilada oddziałów wojskowych, zgromadzonych na Placu Zamkowym.

Ogólne wrażenie uroczystości było imponujące.

Od południa przeciągały ulicami pochody insty-



W rocznicę wiekopomnej Konstytucyi: Warszawski Związek zawodowy metalowców w pochodzie. Fot. M Fuks, Warszawa.



W rocznicę wiekopomnej Konstytucyi: Wiec w dniu 3. maja b. r. na placu przed Politechniką w Warszawie.
Fot. M. Fuks, Warszawa.

tucyi i stowarzyszeń, które połączyły obchód rocznicy Konstytucyi z manifestacyami w sprawie Górnego Śląska.

Manifestacye trwały do późnego południa.

Majowe święto robotnicze.

Tegoroczne majowe święto robotnicze w Warszawie miało przebieg poważny i spokojny. Ponieważ przypadło na niedzielę, udział publiczności był liczny. Porządek nie został nigdzie zakłócony, tu i ówdzie rozpraszała policya grupki komunistów, mniej liczne, niż w roku ubiegłym.

Przebieg uroczystości majowej podajemy według warszawskiego „Robotnika", który charakteryzuje ją w sposób następujący:

Ciasno było w murach stolicy nieprzejrzanym rzeszom robotniczym, które wczoraj w dniu swego święta napełniły place i ulice Warszawy. Falujące morze ludzkie na Placu Teatralnym wylewało się już hen poza brzegi, w rękawy ulic, a zewsząd jeszcze, z wszystkich stron, dzielnic i przedmieść Warszawy ściągały gromady robotnicze ze sztandarami i muzyką, w karnych szeregach, z pieśnią rewolucyjną — zwołane z samego rana pobudką, rozlegającą się po dzielnicach robotniczych. Las sztandarów mienił się nad tłumami szkarłatem w promieniach słonecznych. Z trzech mównic — przed gmachem Teatru Wielkiego, u wylotu Senatorskiej i Bielańskiej i przy Nowosenatorskiej wygłaszali przemówienia towarzysze z P. P. S. Pośrodku, gdzie przewodniczył tow. Cetnerski, przemawiali posłowie tow. Barlicki i Perl, przew. zw. rob. miejskich tow. Kurowski. Z lewej, po zagajeniu wiecu przez tow. Kola, mówili tow. Szczypiorski sekr. OKR., tow. Hołówko red. „Trybuny", tow. Gonerko i Kwaśnik. Z prawej mównicy pod przewodnictwem tow. Dąbrowskiego — tow. Jaworowski, tow. Łopuska i przedstawiciel tramwajarzy. Wszystkich przemówień słuchano z wielką uwagą, w skupieniu, mówców witano serdecznie, hasła, rzucane z trybun, podchwytywane były z entuzyazmem. Rezolucya, proponowana przez C. K. W. P. P. S., przyjmowana była wszędzie jednogłośnie z zapałem.



Majowe święto robotnicze: Wiece na Placu Teatralnym w Warszawie w dniu 1 maja b. r.
Fot. M. Fuks, Warszawa

Około południa, po skończonych przemówieniach, przez Nowosenatorską i Trębacką ruszył pochód.

Kiedy czoło pochodu sięgało już Alei Ujazdowskiej, z Trębackiej wychodziły na Krakowskie wciąż nowe jeszcze szeregi. Pochód sunął Krakowskiem Przedmieściem, Nowym Światem, Aleją Ujazdowską przez Nowowiejską na Marszałkowską, stąd w Aleję Jerozolimską ku lokalowi OKR. O niezwykłych rozmiarach kilkudziesięciotysięcznego pochodu może dać przybliżone pojęcie fakt, że kiedy pierwsze szeregi skręcały w Jerozolimską, ostatnie szeregi pochodu, który zawijał się przez Nowowiejską i Marszałkowską, znajdowały się dopiero w Alei Ujazdowskiej przy Wilczej. Trzeba było z górą 50 minut stać na jednem miejscu, aby przepuścić obok siebie cały pochód.

Kulminacyjnym punktem obchodu była uroczysta akademia, która rozpoczęła się o godzinie w pół do 3 ciej po południu. Ogromna sala Colosseum wypełniona była do ostatniego miejsca; oprócz 4000 osób, które otrzymały bilety, w ostatniej chwili wpuszczono jeszcze na salę 800 osób bez biletów.

Akademię rozpoczął radny Jaworowski, poczem przemawiali poseł Barlicki, Perl i Zofia Praussowa.

Gorącymi oklaskami dziękowali zebrani mówcom za ich świetne przemówienia.

Część koncertowa była prawdziwą ucztą artystyczną dla zebranych. Zarówno oba chóry: kapela ludowa prof. St. Kazury i chór PPS. prof. T. Czerniawskiego, które pięknie i wspaniale odtwarzyły szereg pieśni robotniczych i ludowych, jak i solowe występy artystek i artystów opery warszawskiej: pp. Michałowskiego, Mokrzyckiej, Dygasa, Polińskiej Lewickiej i Palewicza, spotkały się z entuzyastycznem, owacyjnem przyjęciem publiczności, która gorącymi oklaskami i kwiatami wyrażała artystom swoją wdzięczność i uznanie, zmuszając ich do kilkakrotnego bisowania.

Gdy tow. Jaworowski wyraził w imieniu zebranych podziękowanie tym wszystkim artystom, którzy wzięli udział w obchodzie, dając tem samem dowód, iż cenią robotników, Obyw. Dygas odpowiedział w imieniu przybyłych artystek i artystów opery warszawskiej, iż uczynili to, uznając, że sztuka jest przeznaczona dla wszystkich, a przyszli z pieśnią, bowiem „pieśń — to wolność".



Majowe święto robotnicze: Organizatorzy i mowcy, przedstawiciele Centr. Kom. P. P. S. w Warszawie.
1) Jaworowski, 2) poseł Barlicki 3) Cetnerski. Fot. M. Fuks, Warszawa.

Wycieczka dziennikarzy polskich
na Pomorze i do Wielkopolski.

Z inicyatywy syndykatu dziennikarzy poznańskich odbyła się w czasie od 23 lutego do 4 marca b. r. dziesięciodniowa wycieczka dziennikarzy z całej Polski do Wielkopolski i na Pomorze. Celem jej było zapoznać polskie dziennikarstwo z innych dzielnic z życiem gospodarczem, przemysłowem i kulturalnem, dwóch dzielnic b. zaboru pruskiego i rozwiać za pośrednictwem prasy mylne przekonania jakoby te dwie w twardej szkole pruskiej wychowane dzielnice dążyły do separatyzmu politycznego. Wycieczka doskonale zorganizowana nastręczyła uczestnikom rozległe pole obserwacyi prze-

ważnie w dziedzinie życia gospodarczego i przemysłowego. Dziennikarze z Królestwa i Galicyi w ogólnej cyfrze 54 uczestników (wśród tem 6 pań dziennikarek.) zwiedzili kolejno Poznań, Gniezno, Bydgoszcz, Grudziądz i Toruń podejmowani z serdeczną gościnnością przez miejscowe czynniki. Zwiedzenie gospodarstw rolnych, fabryk i zakładów przemysłowych, szkół, urządzeń społecznych i gminnych, banków, wreszcie zakładów wojskowych, dało dziennikarzom sposobność ocenić z bliska imponującą pracę rodaków w bon tych dzielnicach i jej realne zdobycze w odpolszczeniu kraju i opanowania przemysłu, handlu i całego gospodarczego i społecznego życia. Wrażenie jakie wycieczka odniosła było imponujące, pod wielu względami zmuszające do podziwu nad ogromem dokonanej pracy, nad opanowaniem przemysłu, wyrwanego z rąk niemieckich. Dziś śmiało rzec można, że jesteśmy gospodarzami i panami w tych dzielnicach, w których do niedawna panoszył się brutalnie Prusak, dławiąc życie polskie we wszystkich dziedzinach.

W ułożeniu programu prac wycieczki wzięła między innymi żywy udział wojskowość, która dumna ze swych wzorowych urządzeń szkół, i instytucyi, zapragnęła pokazać je dziennikarzom polskim. W podziw wprawiło dziennikarzy zwiedzenie jednego z największych lotnisk w Polsce, lotniska w Ławicy pod Poznaniem, zwiedzenia wzorowych urządzeń w szkole podchorążych w Bydgoszczy, twierdzy Napoleońskiej w Grudziądzu i wielkiej wojskowej stacyi iskrowej tamże, wreszcie szkoły podoficerów artyleryi w Toruniu. Porządek i rygor wojskowy wszędzie imponujący, ale równocześnie i rezultaty pracy wspaniałe i wlewające w serca polskie otuchę.

Rycina załączona przedstawia grupę uczestników wycieczki dziennikarskiej opuszczającą po zwiedzeniu piękny gmach Szkoły podchorążych w Bydgoszczy.

W. P.



Wycieczka dziennikarzy polskich na Pomorze i do Wielkopolski: Uczestnicy wycieczki przed gmachem podchorążych w Bydgoszczy.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.

Ułożyła Marylka K., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy bardzo popularne w Polsce imię męskie:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Dopływ Wisły 2. Imię męskie, 3. Miasto w Królestwie Polskiem, 4. Znany korzeń, 5. Jeden z żywiołów.

Okienko.

Ułożył S. Fiwnicki, Poznań.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a a a a d
d e e
k k l l n
o o o
p p r r w

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto na Górnym Śląsku, 2. Wyrażenie aptekarskie, 3. Rodzaj zasłony.

Bilety wizytowe.

Ułożył E. B., **Kraków.**

Z liter na biletach ułożyć nazwiska współczesnych polityków i mężów stanu:

AL. MILDNER.

S. MISON.

H. D. NIGRA.

N. d'ARBI.

O. SZARF.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) „Poczet królów polskich" (druk trójbarwny, wydanie Salonu Malarzy Polskich w Krakowie); 2) H. Sienkiewicza: „Wiry" (powieść 2 tomy).

Rozwiązanie zagadek z Nru 18

Trójkąt magiczny: Chardigny, Hannibal, Ameryka, Rawicz, dukat, imam, gil, ni, y.

Przysłowiówka: Kiedy marzec przeżył starzec, będzie zdrów, a gdy baba w maju słaba, pacierz mów!

Rebus: Gdy zbrodnia bezkarnie broić zamyśla, pokrywa się maską cnoty.

Okienko: Cesia, sokół, atłas.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: A. Kaczyński Kraków, W. Dutkiewicz Przemyśl, K. Kozłowski Sandomierz, M. Lisowski Stanisławów, H. Malinowski Warszawa, W. Teodorowicz Warszawa, Z. Zawadzki Stryj, J. Jabłoński Lublin, J. Martynowicz Kraków, J. Bielawski Rzeszów, S. Piekarski Poznań, H. Boratyńska Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Sygowska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Zombek Lwów. K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała, W. Śmieszek Lublin, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, M. Brandys Kraków, H. Blonder Chrzanów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, H. Waligórski Tarnów, H. Malczewska Warszawa, H. Maciejowski Lwów, H. Walewska Kraków, M. Wysocka Jasło, J. Opolski Łódź, S. Sadowski Warszawa, S. Kowalski Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, S. Zajączkowski Rzeszów, W. Rozwadowski Poznań, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M. Michalczyk Poznań, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Famocka Stanisławów, H. Sadowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, C. Müller Częstochowa, W. Korman Tarnów, S. Janotka Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) S. Kaczyński Kraków (książka), 2) C. Müller Częstochowa kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.